

Zdzisław Rachtan

część II z IV

Sygnatura notacji: **N0260**

Data urodzenia: **09.03.1924 r.**

Data nagrania: **2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Piotr Rachtan**

Czas nagrania: **część I: 62 min, część II: 60 min, część III: 57 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 32 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zdzisław Rachtan: Mówię, że już „Nurt” nas wyprowadza z tego Chotowa świtkiem, rankiem, już mając plan jakiś, bo wiemy, że jesteśmy odkryci i że to już nie jest pewne. Ile na piechotę można przejść? 5–10 kilometrów na godzinę, powiedzmy, uciekając, ale że jesteśmy zlokalizowani i już ten „Nurt” wie, bo już z przedtem innych obserwacji i mel-dunków, co się działo w innych oddziałach, że to jest zorganizowana duża grupa niemiecka, która, jak się przyklei, no to mając przewagę, to do likwidacji tylko. Więc przyjmuje zadanie takie, że wynosimy się z tego, likwidujemy wszystko, żeby chłopów na nic nie narażać, więc oni zacierają po nas ślady i my świtem, wychodzimy z tej wsi i idzie-my jak gdyby w kierunku, powiedzmy, jeżeli pamiętasz, to jest 6 kilometrów – Włoszczowa. A to wszędzie jest wiel-ki kompleks leśny. I w każdym razie pamiętam, że idziemy w tamtym kierunku, potem już się zorientowaliśmy, po woj-nie, w tamtym kierunku się przesuwamy i zatrzymujemy się w odległości od tego jakieś 3 km, to jakąś godzinę szliśmy, jest godzina tam pewnie 9.00 czy 10.00, schodzimy z tej drogi wielkiej takiej, normalnie prawie bitej, w bok w las. I ten las no to jakieś 200 metrów, schodzimy tam w las i „Nurt” zatrzymuje, wszystkie schodzą się kompanie, więc my zajmujemy normalnie, każda grupa, każde w swojej grupie. „Szort” zostaje tak, jak przeszliśmy, to tą drogą, którą weszliśmy z głównej jak gdyby drogi, taką leśną, od tego jakichś 100 metrów, czyli jakieś drugie 100 metrów albo 200 było do szosy, to była bita droga. Zostaje na placówce... Bo drużyna, też straty ponieśli. Zostają już z „Szortem” i my jesteśmy wyposażeni, każda drużyna ma ze sobą miny, miny przeciwczołgowe, talerzowe takie. Każda miała po dwie. Myśmy mieli też dwie... „Tryb”. Pseudonim „Tryb”. To kapral z wojska, czyli starszy znacznie człowiek od nas wszystkich, więc on na jakieś 100 metrów od tej pozostałej, od centrum, idzie z tym w kierunku... tą drogą, którą my, minuje tę drogę taką, to nie jest droga leśna, normalna taka droga, minuje tam, zakłada na szerokość kół samocho-dowych, powiedzmy, te dwie miny, bo one są talerzowe i mają te łebki takie wystające ledwo, ledwo z ziemi, zasy-

puje to ziemią no i w odległości od tych min zostaje, bardzo blisko, no jakieś 50 metrów. Nie, może więcej. Nie może więcej, jak to się okazało. Jest godzina chyba 10.00, raptem strzelanina u „Tryba” jest taka, jak nie wiem. I ten „Szort”: „Chłopaki, cholera”, i od razu nikt nie ten, tylko na kierunek lecimy tam tych strzałów. A w połowie drogi, bo to nie jest wielko... już widzimy lecącego Jerzego, „Jur”, warszawiak, zalany zupełnie krwią, cała czerwona krew na twarzy, trzyma Bergmana, bo on miał Bergmana, trzyma tego Bergmana tak w pól i leci, a tu taka krew na nim, i za nim jeszcze drugi, ten był „Jerzy”, a tamten był „Jur”. Drugi leci, krew ma też, dostał postrzał, po czole. Tylko mu rozpruła skórę na czole pocisk, Drugi taki leci, więc my i tak się mijamy z nim, w ogóle nawet się nie pytamy, tylko lecimy, bo przecież ich tylko dwóch, a było ich dziesięciu. Lecimy do tego, a stamtąd Niemcy zaczynają pryskać. Tak widać, jak uciekają. Tak że jeden już nie zdążył, tam chyba paru to leżało, jeden nie zdążył, tylko leży pod drzewem rany. My tak dopadamy, a reszta tych chłopaków stoi już, bo już widzi, że my nadlatujemy, nie zapomnę, a ten Niemiec tak leży jakoś kilkadziesiąt metrów od nas i widzimy jak trzyma granat, ten pałkowy, i wypuszczony ma... i stara się złapać zębami, takie kółko było z plastiku, jakieś takie na takim sznurku, bo u nich to tak było owinięte, i jak on rzucił, to ten plastik sam rozwijał się i odbezpieczał, i on trzyma tak tego, a stary z tego Thompsona: „Trr!”. To też był stary żołnierz, z takiego biegu, od razu go zmiotł no i poleciliśmy dalej, tylko widzieliśmy, powiedzmy, i słyszeliśmy uciekających. A stoją trzy samochody terenowe, z których oni opuścili, jak się natknęli na to, samochody przejechały, wszystkie trzy przejechały przez te miny. Nie wzięto pod uwagę, że podskakują koła na korzeniach, które są różne. No i traf, że nic nie strzeliliśmy. Miny wykopali potem. Musieliśmy wykopać. I tamci Niemcy nie wiem, czy pozabierali tych swoich, w każdym razie trzy samochody zostały, jeden za drugim. Tak jeden dojeżdżał do drugiego, więc z tego pierwszego, a reszta już uciekała. I potem miałem to siedzenie z jednego z samochodów, noszone na plecach. No i po tej drace to już teraz już wiadomo, że ten oddział, który się ruszył, znów jest odkryty i jest kontakt. Bo to były trzy samochody terenowe, więc tam ich było po kilkunastu najprawdopodobniej, ale za nim musieli jakieś wojsko, jeżeli oni takim tym wjeżdżali w las, to już... I „Nurt” podejmuje wtedy decyzję, którą sobie ja teraz wyobrażam, jak to mogło być, że wszystko, co jest, to zostaje... Aha, bo jeszcze przecież były... mieliśmy chyba trzy wozy... że wozy zostają rozebrane natychmiast, na jednym zabierają tych rannych, których i tak gdzieś kieruje, bo jest dwóch gajowych chyba, przewodników miejscowych, to z tymi rannymi odjeżdża, wszystko... z wozów się robią juki, zakładają na konie, tak że cały oddziałek nasz konny, nie wiem, to było chyba z dziesięciu ludzi, to idzie i trzyma konie za pysk, i takie worki różne zakładają przez konie, przez osiodłane konie, bo to takie prymitywne objuczenie wszystkim, nawet granatnik to też był na tym, i wszystko, i zmywamy się. Dołącza do nas... Bo jak tu przyjechaliśmy, to żeby odciąć jedną taką drogę, która była leśna i miała taki mostek, to jeden z dużych patroli posłała jedna drużyna, to było tego „Młodzika”... szczytniak, pamiętasz, to on tam podciął te bale, bo to było na balach, to podpiłowali, tak że tamto mieli... przez takie bale nasza też droga, tamtą drogę, żeby była zabezpiecz... tak że on w czasie późniejszej... znaczy, już jak myśmy... to nas dopędził, ale nie szedł z nami z pierwszego tego, gdzie była draka. I my potem idziemy, i to wszystko jest tego, wszystko z tych wozów zostało rozebrane, no i idziemy, przeszliśmy znów tę drogę, przeszliśmy, skąd weszliśmy, z tej głównej drogi idącej na tego, no ale tamte samochody na pewno dawno wjechały, więc ta grupa musiała być jak gdyby na lewo, bliżej Oleszna. I przeszliśmy w ten kompleks, to wielki kompleks leśny i szliśmy. „Dzik” prowadził ze swoją kompanią, a u niego taki „Janek”, też jak ja... myśmy jednakowo awansowali, on też dostał podporucznika czasu wojny, prowadził drużynę, to też taki stary, jeszcze od „Grota”, żołnierz z pierwszych tych świętokrzys... z Bodzentyna, chłopak szedł ze szperaczami i natchnął się na Niemców. To po jakiejś godzinie drugiej, a może godzinę dwunastą w południe, w głębi lasu już innego, tego samego ciągnącego, ale w innej, że tak powiem,

części. Jak myśmy szli niecałej dwie godziny, tośmy musieli tam się przesunąć. Jest taka też dróżka, jakieś tam takie rzadkie krzaki czy tam coś, i oni wchodzi na..., znaczy oni, wchodzi dosyć blisko, widzi odprawę Niemców. Stoi duża grupa wojska i stoi grupka z mapami i sobie tam, tego. A to idzie wszystko cicho, bo to była tak zakazana cisza, tak że oni nawet nie usłyszeli, no w lesie to może tak nie słysząc. Tak że ten daje znać „Dzikowi”, że Niemcy stoją, ten tam podchodzi do nich i tam rozpoznaje, i to widzi, tak już potem powtarza „Nurtowi”, wracając na tego, bo to było: „Stać, stać, stać, stać!”, no więc stoi tak ta grupa z tyłu dochodząca i „Nurt” zarządza rozłożenie się. Więc ponieważ „Dziki” są frontem do tych, którzy... bo idą „Dzik”, pierwsza kompania ich, więc ich układa, tak jak gdyby zagradzając drogę tamtych, które były widoczne, zlokalizowane, na prawo od „Dzika” staje „Szort”, zagina skrzydło, a u „Szorta” na lewym skrzydle jestem ja, jestem na styku z „Dzikami”. A potem staje „Gajowy” chyba, potem stoją „Jurki”, czyli to robi czworobok, taki nieregularny może, bo to nie jest... a w środku konny, konnica, znaczy tam chyba tych parę koni objuczonych, sanitariat, więc Hanka, lekarz, jakaś łączniczka jeszcze była, nie wiem, Baśka chyba też była, Kachajowa, chyba. Chyba tak. Nie wiem. W każdym razie to zostaje w środku, to jest duży obszar, obejmuje... My leżymy jeden od drugiego metr, półtora. Ten „Szort” mówi: „Kopać dołki!”. Dziesięcioma palcami? Nie mamy ani jednej łopatkii nawet. Kopać, mówi, żeby przed sobą [niezrozumiałe] I to tak trwa kilkadziesiąt ładnych minut. Kilkadziesiąt. A.., bo „Dzik” pierwszy rozpoczął, tego... i zaczął walić w tych... Bo to było zbyt bliska tam odległość, 50 metrów podobno było. Tak, tu już tak taka duża grupa tych...

Piotr Rachtan: Ostrzelał ich, tak?

Zdzisław Rachtan: Ostrzelał ich. I zrobiła się cisza. Więc tu już wszystko, jest taka nerwówka. Nie pamiętam, pamiętam swoje, ciekawa rzecz, jest takie podniecenie. No już tak, można zgasić albo wygasić. Mnie się tak chce sikać. No to co, tu się nie mogę podnieść. No ale muszę gdzieś. Jakieś tu drzew... Nie jest za gęsty las, ale duże drzewa są. Niezbyt ogromne, w starym lesie, tylko w takim średnio, powiedzmy. No żeby to wysikać się i wtedy już się robi lepiej. Ale mnie tak spięło, że myślałem, że pęknię, najpierw, zanim się zdecydowałem wstać. A tu jeszcze cisza. Ten przestał strzelać, tamci prysnęli, ta cała grupa, co nie zostało zabitych czy rannych, to prysnęli, i robi się takie kilkadziesiąt minut zupełnej ciszy. Wiadomo, że już jest bezpośredni nieprzyjaciel na karku. Wiadomo, że już jesteśmy zlokalizowani. Wiadomo, że słysząc samolot nad nami. No ale cisza jest. Tak że się wszyscy tam... tak jeszcze się... jeszcze tam „Nurt” przychodzi, jeszcze tam... Mówi: „Przesunąć się, przesunąć”, tak sobie jak gdyby tam rozmieszcza i ustawiają się na tego, no i potem się zaczyna, już te pierwsze, prawda, Niemcy się podsuwają już tymi swoimi... I oni pierwsi zaczynają z granatników walić, przenosi jakieś pierwsze te... tak że nie trafiają do środka. I potem zaczynają takim ziać ogniem, że gałzki lecą na nas. Słysząc tylko... I strzelają dużo amunicją tak zwaną ekranizowaną czy... Ekrazytową. On uderzał i wybuchał, pocisk uderzał i się rozrywał. To był taki specjalny, tam mieli tak na zielono malowany sam pocisk, to był na zielono malowany. Bo takie to były zdobyczne rzeczy. I to były... ta ekranitowa była. I one świeciły, w nocy świeciły. No i to pryskanie, i zaczyna się huraganowy ogień. No więc nawet nie ma mowy, żeby się... Potem ten ogień lekko cichnie, potem już zaczyna być..., no i zaczyna się nasz ostrzał. No i to trwa, „Dziki” się cofnęły, u mnie tak tylko trochę zachodzi, bo atakują stronę tę „Dzików”, którzy doszli. A ja leżę na styku. No więc na samym tym styku tak strzelamy, a potem oni przesuwają, bo tam „Dziki” mocno, mają też dużo obroni tej maszynowej jak ja, ale są większą kompanią, przesuwają się trochę w lewo, patrząc na to, i przyjmują front na „Szorta”, z tym że o „Szorta” trochę tak zahaczają, a najbliższe są mnie. Tak że jest moment taki, gdzie są tak, że ja rzucam

granat, który wiadomo, że nie mogę rzucić w drzewo, więc mam tak wyliczone na tego, że podnoszę się, bo widzę Niemców, jak od drzewa do drzewa się tam przesuwają, to jest dalej. Mam, swoje MP wystrzelane, od „Kniazia”, „Kniaź” miał „pepeszę”. Biorę od „Kniazia” „pepeszę”, który leczy właśnie z RKM-em tego Domańskiego, i jeszcze wszyscy żywi są. I on mi podaje „pepeszę” swoją, ja tę „pepeszę” [niezrozumiałe] bo tak najwięcej leci tutaj na mnie, leżę zupełnie skrajnie. No i te „Dziki” się tu kończą. I jak ja rzuciłem granat, to „Dzik” myślał, że ja dostałem. Bo ja się podniosłem, musiałem się podnieść, „Szort” tam gdzieś nad nami czuwał z tyłu, co chwilę mówił: „Chłopaki, chłopaki, chłopaki!”, tak że widzieliśmy, że... i „Szort” do mnie się tak podczołguje, mówi: „Ranny jesteś?”, ja mówię: „Nie”. Tak że tak też go zapamiętałem, że przyczołgał się tam. No to trwa, bo to przecież nie zawsze jednakowe nasilenie jest, bo strzela się wtedy, jak się widzi. Bo co, strzelać... A my ich ciągle widzimy pomiędzy drzewami tam. No to to trwa, a rzeczywiście zaczyna się lekki zmrok, zaczyna się robić szarawo. I Niemcy raz krzyczeli: „Hurra!”, potem była cisza, potem była strzelanina jak..., potem była cisza i znowu: „Poddajcie się, poddajcie się!”, po polsku, krzyki, pewnie jakichś Ślązak, coś tam, w każdym razie czystym takim. No i na to odpowiedź tego naszego „Mariańskiego”, kapitania: „A pocałujcie nas w dupę!”. No i tu odprężenie u chłopaków. To jedno słowo, taki grzmiący głos, że tam to swoje i że się nie damy. Kapitalne odczucie, to też pamiętam po sobie. Zresztą wszyscy to potwierdzali, że to było takie podniesienie na duchu. No ale to jest moment, który wyczuł „Nurt”, jak... Bo Niemcy krzyczą: „Hurra!”, po takim tym to jeszcze znów jest parę minut, „Hura, hura!”, i „Nurt” nas zrywa do ataku. Poderwał „Chabdanków” chyba, „Jurków”, bo to był ciągle w jednym... Był ten atak niemiecki. I na „Hura!”. I my lecimy, my z tej pierwszej linii, wpadamy, tu leżą Niemcy, tutaj jakieś, tego, ja przeskakuję, tam ktoś na tego krzyczy: „Uwaga!”, Niemiec się zrywa do góry, udawał zabitego, tak że myśmy prosto na nich, oni na nas, a my na nich. I oni nie wytrzymali nerwowo i zaczęli uciekać. I pamiętam, „Zdzisiek” go skosił, bo „Zdzisiek” się odwrócił, „Zdzisiek” miał też chyba MP, „Zdzisiek” się odwrócił i tak mu w plecy położył. Ale taki byk podobno był, duży, że nie miał tego, żeby go trafić. I myśmy wtedy lecieli na „Hura!”. Wtedy to wszystko było... Oni musieli prysnąć. No więc wtedy ich zostało dużo, bo pierwsi myśmy, tak jak „Dzik”... Jak tego, to oni udawali zabitych no i już oni mieli niepozobieranych rannych bo nie zdążyli, jakkolwiek prawdopodobnie oni w czasie całej walki to takich radnych to ścigali. I liczyli potem tam w Oleszni, jak ich tam zwozili, zarekwirowane były wozy, żeby ich tam gdzieś przewozić, bo nie mieli samochodu, to ich bardzo dużo zginęło, bo to był atak już taki... Naszych, zginęło wtedy na miejscu chyba trzech, rannych mieliśmy dziesięciu czy dwunastu, już nie pamiętam, ale w każdym razie straty ponieśliśmy tam... chyba dwunastu czy czternastu ludzi. I odezwaliśmy się, i oni prysnęli. No i teraz opatrywanie tych rannych, Ktoś mnie tam tak woła, ja byłem taki zmordowany. Byłem taki jakiś... A pamiętam, to Chlebowski tam opisał, Żyd, że „Mundek” mi przyniósł kawałek chleba i rzeczywiście zakrwawiony. Bo oni od razu obrabiali tych Niemców. Chłopaki się obłowili, bo to plecaki, prawdopodobnie byli w pełnym tym, bo przecież... Zabrane plecaki, zabrane te... plecaki rozprute i co z tego tam wziąć. No i rzeczywiście miałem krew na tym. Taką kostkę chleba mi dał. A byliśmy wtedy strasznie zmaltretowani, głodem też. No i jeszcze wywołają mnie, że: „»Kniaź« chce się ze sobą pożegnać”. Więc idę do tego sanitariatu, to kilkadziesiąt metrów, gdzie tam opatrują, to leżą, widać, wszyscy ci ranni. No i leży tam opatrywany i zupełnie przytomny, „Kniaź”. Ta siostra, która teraz przyjeżdża, i ona tak jest mi wdzięczna, bo ja ją odkryłem po wojnie. Wczoraj mi, wczoraj, przyszło w korespondencji, że zmienił się u niej adres, że się przeprowadziła, bo pamiętam, przyjeżdża, to taka żona jakiegoś wielkiego człowieka, w Japonii siedzieli szereg lat po wojnie. I pamiętam tego „Kniazia”, to jest też chłopak, którego wszędzie nikt nie chciał w drużynie mieć. Przyszedł właśnie gdzieś tam w lecie, czy na wiosnę, w 1944 roku. Piękny chłopak też, taki prawdziwy mężczyzna, wysoki, czarny. I wtedy cofnęliśmy się z powrotem już, bo to było

blisko tego Chotowa całego, z którego wyszliśmy, a potem gdzieś trzeba iść, no i cofnęliśmy się do tego Chotowa lasem. Tych radnych się tam pozabierało, do Chotowa, z Chotowa już ich brali, tak że... niektórych tylko nie zdążyli wywieźć chłopci. Muszę powiedzieć, że chłopci bardzo się dzielnie zachowywali, ci miejscowi. I weszliśmy do tej wsi z powrotem. My znów najbliższej teraz tej krzyżówki leśnej w chałupie ja jestem. A „Bat” RKM ma zagwożdżony. Tam, pamiętam, takiego dzikiego, dostał szafu, bo jak mu się zagwożdżył w czasie tej ciężkiej strzelaniny, to jest bezbronny. Zerwał się, „Karabin, dajcie mi karabin!”. No i złapał któregoś, czy „Węgorza”, czy któregoś, który już leżał ranny, no i strzelał też. Już był uzbrojony. I tam on starał się wybić to, ale to już nie, tego... Tak że godzina prawie późna, trzeba się trochę przespać. „Szart” do mnie przychodzi, a leży w pierwszej chałupie od tej drogi głównej, z tymi niedobitkami swoimi, to czterech ludzi. Sześciu ich jest i broń maszynowa, dwa RKM-y rozbite i trzeci zagwożdżony. I tak mówi do mnie: „Słuchaj, Halny, wiem, że jesteś zmordowany, ale musisz iść na placówkę”. Rozumiesz? Ale muszę powiedzieć, że chłopaki nie zaprotestowali. A przecież też tacy zmęczeni. Wyszedłem za tę wieś, w tej chałupie, w której my staliśmy, staliśmy od chałupy tej chałupy z 50 metrów. Tylko dalej już nie ma co, bo tam wiadomo, że tam jest droga przecież, więc ja takie bezpośrednie ubezpieczenie z trzema chłopakami. To reszta to została w chałupie. A drugich trzech zostało w chałupie. Czy tam dwóch. Przejeżdża koło mnie... ale podane miałem hasło, ta wieś jest przecież też długa, konnych podjeżdża dwóch i ci, którzy wjechali właśnie na Niemców. I mówią mi, że jadą na drogę do Oleszna, spenetrować. Świetny chłopak. No i powiedzieli hasło, powtórzyliśmy sobie, żeby tego, i pojechali. Upłynęło 10 minut chyba po nich. „Tra, ta, ta, ta!”, serie takie. I to taka krótka, długa seria, a potem druga jeszcze i konie. Jeden przeleciał, drugi na koniu. Koń sam przeleciał i drugi tak... A ten dowódca ich to taki znakomity chłopak. Stary żołnierz od „Tarzana”. On został tam zabity. Niemcy mu podobno pogrzeb zrobili, tak że, że mu szablę położyli. On jest pochowany w Olesznie, że mu zrobili pogrzeb taki, że mu skrzynkę jakąś... zrobili mu żołnierski pogrzeb. Ci placówkarze prawdopodobnie, którzy tam stali, na tej placówce właśnie, gdzie teraz stoi ten pomnik, taki z tej... I to jest alarm, bo to jest odległość kilometr w sumie, od tej wsi kilometr, może 1.500 metrów. I znów alarm tych wszystkich, co się szykowali na jakiś odpoczynek, To pakowanie szybko. Tak że Zdzisiek jednego zapomnianego, to podchorążego Andrzeja, który dostał w nogę, to znaczy od „Szorta”, to był jeszcze jeden ranny. Wszyscy z tego tego zapomnieli, że on został. I dzisiaj patrzę, że jego nie ma wśród tych „Szortowców”, którzy tam idą, bo ja jeszcze jestem ciągle na końcu. Bo jestem ostatni na tej właśnie czujce, a nie placówce. To jaka placówka, trzech ludzi. To jeszcze na wóz wsadził, jak mnie ściągnęli, że już mogę, to jeszcze wyniósł go na plecach i wsadził go na wóz Zdzisiek, tego Andrzeja, tego twórcę naszego hymnu: „Choć z dala są, mamy rodzinę i bliskich...”. Był w nogę ranny. I to wyszło, no więc ja dołączyłem, jak mnie „Szort” ściągnął, dołączyłem i siedłem znów w tym ubezpieczeniu tylnym. To straszne, iść w ubezpieczeniu tylnym. Bo ciągle nie wiadomo, czy z tyłutem ktoś nie idzie po cichu. Bo ten, co idzie z przodu, to widzi. A tutaj to nie wiadomo. Skrada się? I doszliśmy do takiej wsi, Emilianów, to jest już nad ranem, świt się robi, znów się rozkładają wszyscy, do tego jeszcze tych rannych tam no i gdzieś tam wysyłają, udało się wysłać. Ja pamiętam, to jest godzina chyba ósma rano. Już niektórzy się położyli spać, a my się męczymy z tym RKM-em, żeby wybić z „Batem” łuskę zakleszczoną z zamka. I wybijamy, no i tam jeszcze coś się przegada, jeszcze się coś tam gada... Alarm! Niemcy. To myśmy się nawet nie położyli, niektórzy tam chłopaki drzemnęli, ale myśmy tam wybijali to. Ale już jest nam lepiej. I wyprowadzają nas z tej wsi, Alan... Wieś nas ostrzega swymi... Bo jeszcze nie ma kontaktu żadnego. I wprowadzają nas w bagna, w autentyczne bagna. Jak to się stało? No znaczy, że tam się nie przebiło... Kożuch się..., ruszała się ziemia. To znaczy czuć było niepewność ziemi. A weszły konie i weszły dwa wozy, wprowadzone na tych... I myśmy się wsunęli w ten las na 50, może więcej, metrów, w każdym razie

drogi nie widzieliśmy, która była ze wsi, ale potem słyszeliśmy Niemców i strzelanie, do nas, oni strzelali, idąc z tego, jadąc jakimiś tymi podobno, bo motory było słychać. Tak było blisko. No i chłopaki trzymali te konie za pysk, które wprowadzone zostały, nie wiem czy wszystkie, czy nie, w każdym razie myśmy się tam wsuwali, ruszała się... Tak niepewny grunt. Tak że bardzo głęboki, torf jakiś, no czuło się, że to może się przerwać. I przeleźliśmy całe... tego, i usłyszeliśmy, to za godzinę czy tam tego, jak ruszyli Niemcy, przewalali się tą wielką jakąś tam swoją grupą, te motory było słychać, bo głosów nie, ale motory i serie, które mogliśmy odnosić, że strzelają do lasu. Że idą, na wszelki wypadek, walą, żeby sprowokować albo coś. Wiedzieli, że tam mają te bagna. Widocznie mieli to rozpoznane, czy mapami, czy przez to, że tam są bagna, po prostu bagna. Tak że tam nie wjadą. No i przejechali, i pojechali. Myśmy tam przeleźli do wieczora, tam zmarł „Kniaź” na wozie, został zakopany... Nie „Kniaź”, a „Węgorz”. Jeszcze „Bał” zrobił taki krzyżyk, ponieważ nie było z czego, to tak powiązane, poprzeczka z jakichś gałęzi takich, żeby wbił, że tu leży, i coś tam powiesili na tym, czy kartkę, czy coś. I myśmy stąd wyszli, wyprowadził nas z powrotem do wsi jak gdyby i poszliśmy właśnie, tak jak Niemcy nadeszli, tak poszliśmy tą drogą w przeciwnym jak gdyby kierunku, robiąc ślady. Poszliśmy i poszliśmy. Potem zrobiliśmy krąg taki ogromny. Ogromny. Całą noc szliśmy. Każda droga była przez tylne ubezpieczenie zacierana gałęziami, żeby nie było śladów ciężkiego jakiegoś przejazdu, jakieś zrobili tylko ślady, a potem daleko wyleciał tam, wrócił ten, co ślady zostawiał na tym piasku. Tak że indiańskim sposobem. „Nurt” nas prowadził idealnie w to samo miejsce, w którym mieliśmy rozpoznanie, i my na drugą nad ranem, przyszliśmy już nie na wieś, tylko tam w te bagna poszliśmy i tam w tych bagnach przeleźliśmy cały dzień, i Niemcy nas zgubili. Stracili ślad i nikt nas nie zdradził. A nas już było niepełne 200 ludzi, bo to tak porozchodziło się. Trochę to zostaje. I wtedy urwaliśmy się. To dla nas taki był koniec. Ale już co mówić o rozstaniu? To jest zupełny koniec. To już jest chyba listopad, pierwsze dni listopada, kiedy my z tamtego terenu, taka duża wieś, Lasocin, w której przenocujemy następną noc, to już we wsi przenocowujemy, nigdzie żadnych nie ma alarmów, że gdzieś w pobliżu są Niemcy, więc tam spokojnie przeleżamy, tam do końca tych rannych rozstawia się. Także idziemy potem zupełnie bez wozów, nas prowadzi „Nurt” w okolice, mam bardzo zapamiętaną nazwę, wsi Jandziadek. I to już jest pierwsza dekada listopada. Mrozy są już, przymrozki, pozamarzane kałuże są. Pamiętam, że gdzieś jest taki duży odpoczynek i my ze Zdziśkiem mówimy, tu jest taka rzeczka, pójdziemy się... Jest taki odpoczynek, jesteśmy trochę tak jakby biwakowo. Idziemy i rozbieramy się do naga, łamiemy lód, który jest na tej pozamarzanej płytkiej wodzie, a na głębszej stajemy i myjemy się cali. Po raz pierwszy. W ogóle całą jesień nie robiliśmy sobie kąpeli. W takiej zimnej wodzie, że żeśmy złamywali lód, żeby stanąć w tej wodzie. Świetnie musieliśmy wyglądać na golasa. Ale taki człowiek był wtedy. I to był taki odpoczynkowy dzień, i potem doszliśmy do takiej wsi Jandziadek, w której też nocowaliśmy. Biedna taka wioska. I tam pamiętam wielkie takie moje własne, osobiste przeżycie, bo leżę z tą grupką niedobitków swojej drużyny w tej wsi, w chałupie, jakąś słomę mamy, więc jakie takie wygodne, i przychodzi do mnie „Szort” na kwaterę, wchodzi tam [niezrozumiałe] bo [niezrozumiałe] jak ojciec chodził, przychodzi tam do nas, mówi: „Słuchaj, ty wiesz, ciebie »Nurt« podał na Virtuti Militari”. To mi tak powiedział, bardzo mi się tak zrobiło, ale to przyjąłem tak lekko. I to było pierwsze takie, że „Szort” mnie... A przedtem miałem tego zetknięcia o awansie tym na oficera stanu wojny, podporucznika czasu wojny. Więc wtedy mi to powiedział. Muszę powiedzieć, że tak to się mi też ciepło koło serca zrobiło, Chociaż byłem bardzo zgłębiony tą stratą, że czterech ludzi nie mam. Czyli nas jest tylko sześciu. I z tobą weszliśmy w lasy tak zwane Osieczyńskie, to są duże, bliżej Suchedniowa, bliżej tutaj już tych lasów, i tam stoimy w lesie na gołej ziemi, jak to się mówi, śnieg zaczął padać. Tam przepuszczamy obławę, która przechodzi prowadzona, chyba niemiecko-własowską, bo szli Ruscy [„własowcy”], bo po rusku ich słyszeliśmy. I też zostajemy w ta-

kich krzakach, w takim gęstym lasku, młodym, trochę dużym, ale młodym takim, no i też jest rozkaz zachować śmiertelną ciszę, bo był meldunek no i rzeczywiście, że się zbliża, i rzeczywiście słyszymy, nie widzimy, ale słyszymy Niemców, te gardłowe pokrzykiwania pewnie na tych ruskich, ruskich tych przekleństwach, słysząc ludzi idących. A oni szli grupami, bo się bali prawdopodobnie iść z jakąś tam obławą, ale obława pewnie była sprowadzona na to, że co kilkanaście czy kilkadziesiąt metrów szła jakaś tam grupa. Tak że my ich słyszymy tak prawie że przez krzaki, ja nie widziałem. I tam miałem chwilę słabości, prawie załamania, psychicznego. I przepuściliśmy ich, i potem żeśmy się przesunęli jeszcze. i było zimno, głodno, tak że zabity został jeden koń, rozdzielona ta konina na te, bez żadnego chleba, bez żadnego... Nie wolno było palić ogniska, więc tam takie malutkie do grzania się, co suchsze się wybierało, gdzieś tam jakieś brzoźki, coś, żeby się ogrzać. I to jest z 11 listopada jeszcze, to jest to święto, więc w ogóle nie ma żadnej odprawy, „Nurt”, nie wiem, czy mieli tam może w zapasie jakimś, jak to zagraża, że kwatery mieliśmy większe, bo dostajemy prawie po kieliszku wódki. Znaczą każdy dostaje w to, co miał, jakąś menażkę czy coś, to dosłownie kilkadziesiąt, bo co można było tam dostać, nie wiem, czy z butelki czy z innej, ale w każdym razie takie uczczenie było, że tradycyjnie coś tam dostaliśmy, ale nie chleb, nie nic, tylko to tradycyjnie wódki. Tak że to na nikim nie zrobiło wrażenia. I to jest ostatnie, bo chyba 12 czy 13 listopada jest pożegnanie się. „Nurt” postanawia rozdzielić, bo przecież nie ma żadnego kontaktu z zaopatrzeniem z zewnątrz, które robiła konspiracja. Bo wszędzie są po wioskach kwatery niemieckie, po większych jakichś, więc nie jest możliwe... I dzieli ich, kto się może udać w okolice Bodzentyna w Świętokrzyskim, bo front stoi na Górach Świętokrzyskich, na paśmie Jeleniowskim, właśnie tam, co kiedyś przechodziliśmy z nimi, to oni tam już zostali, więc przesuwają się w tamte strony, więc dużo ludzi jest z tamtych, więc kto ma możliwości sam znalezienia sobie miejsca na to, żeby przetrzymać, no to muszą tylko wiedzieć, bo to będzie prowadził „Dzik”. I drugie, kto idzie w okolice znów włoszczowskie, Bo to też duże kompleksy, przeczesane, więc należy przypuszczać, że Niemców tam nie ma, przynajmniej tak pewnie sobie „Nurt” dedykował, w każdym razie mniej więcej na połowę się to rozdzieliło. Może nas już wtedy było coraz mniej. „Dzik” poprowadził, nas kilkunastu poszło tu od „Szorta”, a „Szort” z resztą i swoim koniem, poszedł z „Nurtem”. Część naszych było tam, a myśmy z „Dzikiem” weszli w okolice bodzentyńskiego, ale jak byliśmy, znaczą niektórzy, bo ja muszę znowu mówić tylko o sobie, ja miałem pewnie szkorbut już wtedy, bo w ogóle też życie w ostatnich tygodniach było tak marne i bez jakości specjalnych... tego, że odczuwalne było ruszanie się zębów. Tak że pierwszą noc w Świętokrzyskim spaliliśmy we wsi, która się nazywała Psary, Psary Kąty, to była taka już na paśmie Klonowskim, które tak idzie, to była pierwsza. I nam ci gospodarze zrobili, nas tam było kilkunastu, bo tam się tylko po tych chałupach, już „Dzik” tam znał, bo to były jego strony, bo on z Bodzentyna był przecież, więc wiedział nawet po nazwisku tych sołtysów tam. Więc, powiedzmy, tam, gdzie myśmy byli w kilkunastu, bo nas tam było pięciu czy sześciu, bo tak po chałupach było, to nam ugotowali, tak oni to nazywali, garłuch, garłuch z owoców, ugotowana taka zupa, zasypana mąką czy tam czymś, żeby ona była zagęszczona. To było nasze pierwsze jedzenie, gotowane i cośmy dostaliśmy tam... No a potem Zdzisiek, który też był przecież z Pawłowa, bo w Pawłowie miał to swoje mieszkanie, gdzie mieszkała matka z Krystyną, czyli z siostrą, przeszliśmy w okolice Rzepina, znów grupa, bo tu już żeśmy się rozsypywali i nas kierował już „Dzik”. Tutaj to Zdzisiek, bo już wiedział Zdzisiek, że do tego Pawłowa, bo w Pawłowie matka mieszkała z siostrą. No to przyszło nas chyba sześciu albo ośmiu do tej chałupy, w której potem pomieszkałem parę, paręnaście dni. I tak pożegnanie, a chcę jeszcze powiedzieć, bo to już na dzisiaj można powiedzieć, czy wiecie, że są ludzie, to jest bardzo ciekawe, którzy należą do naszego środowiska, młodzi znacznie, niektórym się ciągle marzyło, jak to teraz mówili, żeby znaleźć to miejsce, gdzie się w takich trudnych warunkach... no ostatnio jeszcze to badali, zgrupowanie skończyło się. Gdzie był

jego jak gdyby koniec. Wiecie, że w ubiegłym roku, przed naszym „Wykusem”, czyli przed czerwcem znacznie, oni wybudowali w miejscu, gdzie z miejscową ludnością, a więc gdzieś tam, Bliżyn, jakieś tam inne, byli ludzie, którzy pamiętali, że tutaj coś było z leśnikami, z nadleśniczym, wydedukowali, gdzie to mogło być, na skrzyżowaniu jakimś, bo myśmy wiedzieli, że tam była taka duża krzyżówka leśna, na której to całe wojsko, które nas było niepewne, dwustu, czyli, powiedzmy, stu kilkudziesięciu, rozdzieliło się, jedni poszli w jedną stronę, drudzy w drugą stronę. Postawili przepiękny pomnik, taki duży, głaz, typu takiego, jakby taki w formie trójkąta, wysokości jakiegoś metra, może metr dwadzieścia, na tym położyli tablicę, w której napisali, że w tym miejscu batalion został zdemobilizowany. Mielśmy otwarcie tego, bo to miejscowi ludzie i miejscowi nasi żołnierze, znaczy rodziny naszych żołnierzy. Warte zobaczenia, warte. No to już zostało naniesione na mapę przez PTTK, z Bliżyna zrobiono szlak do tego miejsca, tak że to jest zaznaczone to miejsce, gdzieśmy się roz... Ale niektórzy tylko byli, z grupy, która tam była, to tylko byłem i ja i nie pamiętam, czy jeszcze któryś z chłopaków był. A to już tylko ci ludzie, którzy pamiętają, którzy chcą pamiętać, młodzież, dużo młodzieży, no i tam szlak turystyczny już jest. A z żyjących, tych, którzy szli z tego na swoją jakąś tam kwaterę zimową, to tylko byłem ja. Tak jak teraz chyba robimy to spotkanie, rok 2008, robimy spotkanie na „Wykusie” tradycyjne, czerwcowe, to nie wiem, ilu nas będzie, może nas będzie trzech, może czterech. A jeszcze zrobili ci sami ludzie, jeden jest z Warszawy, którego musicie kiedyś poznać, straszny gaduła, ale tak napalony na to, że on ma swój leśny domek tam gdzieś, to sobie pobudował taką kapliczkę, jak nasza w lesie jest. Zupełnie ten format skośny... – Replikę zrobił. Tak, taką replikę zrobił. To on uczestniczył potem, budowali w lesie [...] na Borwinku, gdzie Niemcy ponieśli ciężką stratę w 1943 roku, to jest chyba 15 września, kiedy zrobili obławę i nieostrożnie weszli na zasadzkę, którą im urządził „Ponury”. Bo to jest nowe opowiadanie.

Piotr Rachtan: To jest inna historia?

Zdzisław Rachtan: To zupełnie inna historia, ale nie zawsze były nieszczęśliwe rzeczy. Były i szczęśliwe. Słuchaj, mówiłeś, że miałeś ten moment załamania. No prawie bliski popełnienia samobójstwa. Byłem... pewne zmęczenie, przecież ja byłem pełne prawie dwa lata. Bez urlopu. Różnie to chłopaki wychodzili. „Poraj”, podchorąży „Poraj”, czyli mój, jak już mówiłem, bliski... znalazł się. Ja miałem chyba takie... Dwukrotnie miałem, raz, miałem manię popełnienia samobójstwa, to jest wczesna wiosna, w jakimś 1944 roku, ja dostawałem gorączki jakiejś takiej, którą mi leczono tak jak na febrę. Chining. Że miałem wysoką temperaturę, w stodole leżeliśmy, to była wczesna wiosna czy późna zima. I ja wziąłem karabin, i postawiłem na sztorcy lufę pod brodę, i „Ba!” mnie uratował, wyrwał ten karabin no i naturalnie nie zdążyłem strzelić. Chciałem się zastrzelić. Ale to już uważam, że byłem nieprzytomny. Ja tego nie pamiętam. Natomiast oni wszyscy pamiętali, jak „Halny” zgłupiał. A potem drugi raz to właśnie też w tym 1944 roku, po tych obławach, kiedy stoimy tu i słyszymy tę obławę przechodzącą mimo nas, i jesteśmy bez prawie amunicji, na dziesięciu ludzi, jest nas sześciu. Wiem, że to już nie ma co, że amunicji mamy tyle, co przy sobie. że nie ma żadnych zapasów amunicji, więc strzelaniny na godzinę. Nie wiem, co mnie wtedy opętało, ale pamiętam żywo, bo wyciągnąłem Parabellum, które miałem, Parabellum z jednej zdobyczy, które kiedyś... nie wiem, czy panu mówiłem, jak Gamonem, nie z „Piata” chłopcy strzelili do samochodów, w których jechało czterech oficerów niemieckich. I samochód się zapalił, Niemcy zginęli a oni przynieśli do nas... „Stary”, czyli „Szort”, nosił kurtkę z jednego, świetną, taką oficerską, a mnie się dostało... dostałem przyniesione Parabellum. I rozładowałem. To znaczy wziął i mówi: „Pokaż, pokaż, bo ja...”. Wyciągnąłem sobie to i tak się przymierzałem na tego, no i „pokaż, pokaż, pokaż”, wziął mnie na tego... no i tam

zaczął się tym bawić. A ja już to widziałem, ale nie reagowałem. Wypuścił magazynkę, sprawdził, że w lufie nie ma, i tam jeszcze się pobawił i oddał mi. Ja potem dopiero sobie zdałem sprawę, że miałem rozładowany ten... Patrzcie, jak człowieka... urywają się czasem. Parabellum... Uciekło, co ja miałem. To Parabellum... To Parabellum mi zostało.

Piotr Rachtan: Czy to jest to, które...

Zdzisław Rachtan: Jeszcze strzelałem na swoim weselu z tego Parabellum. Ale już wtedy miał pełny. To jest to, co замуrowałeś w piwnicy? To, co замуrowałem w piwnicy. To znaczy ono zostało w piwnicy. Nie, to chyba zostało, bo ja nie miałem broni. Zostałem rozbrojony. Znaczą już za czasów, jak się skończyła dla nas wojna, to znaczy druga połowa listopada. Bo to już... Tak, 17 stycznia Niemcy weszli. A 13 stycznia się ożeniłem. Z twoją mamą. A 17 stycznia weszli Rosjanie? 17 stycznia weszli Rosjanie, przyszli pierwsi do naszej chałupy. Świetne spotkanie. Na osobne opowiadanie, bo to zatknięcie się z armią radziecką już jako front przesuwający się. Szli wszystkimi drózkami, miedziami. „Kuda Berlin?” Pierwsze pytanie, jak spotykam. No i się pokazywało na zachód. Szli, oni szli. Niemcy się wycofywali w zupełnym porządku. Wycofali się jak wojsko, grupami wszystkimi. A oni szli. No tam też były te jednostki pancerne rosyjskie, to przecież nie tak wyglądały. Ale szli, ta piechota, maruderzy. Tacy, którzy się [...]. Ich tam pewnie gdzieś potem ten, ale ja pamiętam, jak przechodzili przez Pawłów, gdzie mieszkaliśmy, to szli pojedynczo, jeden, dwóch ich wchodziło. Nasza chałupa była troszkę z boku, niektórzy drogą szli, to ich szło więcej, ale szli pojedynczo, bo wchodziło do chałupy, żeby się pożywić. Muszę powiedzieć, że przyjemne to. Nie było nieprzyjemnie. To szło wojsko frontowe. Nie szli rabunkiem, bo jeszcze się pewnie bali, bo potem to przecież oni rabowali też. Tak jak wojska, znaczy takie tyłowe, to już się zachowują... Przecież Rosjanie też nie wszystkich mogli opanować swoim NKWD, czy policją tą wojskową. Tak że to było różnie. Podzielenie batalionu na dwie części, które nastąpiło w lasach osieczyńskich, bo tak się nazywa ten fragment świętokrzyskich lasów, w drugiej połowie listopada 1944 roku. Był to niezmiernie przykry moment, kiedy widzimy, że się rozchodzimy, dowódca, czyli major „Nurt”, czyli komendant nasz, zabiera połowę ludzi, którzy nie potrafią się sami zakwaterować gdzieś na zimę, tracimy tego dowódcę, do którego jesteśmy ogromnie przywiązani, i jedziemy z „Dzikiem”, jednym z dowódców kompanii, który pochodzi z Bodzentyna, idziemy w jego strony rodzinne, idzie nas około osiemdziesięciu ludzi. Przechodzimy przez tory, to jest przez całą noc, jesteśmy straszliwie wyczerpani, bo od paru dni mamy niewielkie jakieś racje żywnościowe, dojadane prawie z tego, co ktoś miał przy sobie, bo nie ma dostaw, które normalnie konspiracja miejscowa była zobowiązana do oddziału partyzanckiego dostarczać. Przeżywamy bardzo trudny okres, trochę z tego osamotnienia, wiemy, że jesteśmy już skazani, każdy prawie oddzielnie, nie wiemy, co tam się uda i gdzie się uda nam. Ja idę z tą częścią „Dzika”, ponieważ tak się złożyło, że w naszym batalionie był „Poraj”, podchorąży z Torunia, który mówi, że on właśnie to tam mieszka w tych okolicach Bodzentyna, ponieważ przed Niemcami wycofać się musiały w 1939 roku z Torunia, i mieszka z matką i siostrą w takiej chałupie, gdzieś w takiej wsi Pawłów. Pawłów jest wsią gminną, a więc taką większą, z urzędem swoim, z tym że on, tam mieszkając ma duże znajomości wśród miejscowych ludzi. Idzie ze mną również mój brat, „Kaktus”, i „Szortowcy”, „Szortowcy”, którzy szukają, którzy nie mają tam w ogóle nikogo, wrócić do domu nie mogą, bo jest dwóch z Skarżyska, trzech ze Starachowic, idzie nas chyba dziesięciu, łącznie ze mną i z tym „Porajem”. Idziemy dwie noce, bo w dzień tam gdzieś leżymy i przeczekujemy. Cały teren, właściwie już od Kielecczyny tej południowej, jest bardzo zagęszczony oddziałami niemieckimi, bo to już jest zaplecze frontu, który w tej okolicy utrzymuje się na paśmie Gór Świętokrzyskich, paśmie Świętego Krzyża, tak zwanej tysicy, z najwyższym szczytem

Łysica, i drugie pasmo, Jeleniowskie, z najwyższym szczytem, tym, o którym nie wiem, czy kiedyś wspominałem. Stał się po tamtej stronie i właśnie staliśmy wspólnie z wojskiem, z jakąś grupą wojsk niemieckich, bo trudno było mówić w sierpniu o tym froncie, ale ten front tam właściwie pozostał. Muszę powiedzieć, że właściwie fragmenty tego, że trwa walka, dochodzą do nas bardzo. Tutaj, już jak jesteśmy w tym Pawłowie, o którym wspominałem, że idziemy do „Poraja”, czyli Zdzisława Witebskiego, do tej jego chatynki, gdzie tam mieszka z matką i siostrą. Słyszymy front, który jest w odległości jakichś 15 kilometrów, może 20, z drugiej strony, bo jesteśmy po północnej stronie tych pasm Świętokrzyskich, a na południu są Rosjanie. Słyszymy ciągle w różnym natężeniu walkę, taką jak gdyby przerywane artyleryjskie pojedynki wzajemne, nic się nie dzieje, wokół są Niemcy. W związku z tym jesteśmy... coraz bardziej musimy się jak gdyby ukrywać. Znajdujemy się w pierwszym momencie w takiej chacie, w takiej wsi, która się nazywa Rzepin, tam „Poraj” ma bliskich znajomych gospodarzy, bardzo świadomych, i on wie, że to są też z tej organizacji konspiracyjnej, więc idziemy do tej chałupy, jest nas dziesięciu, tam się rozbrajamy, bo nie możemy przecież spalić się w terenie w razie czego, żeby coś, to było takie polecenie, żeby broń melinować, no więc ten gospodarz, który się nazywa Walkiewicz, bardzo gospodarni ludzie...